60
12

ALEKSANDER CZOŁOWSKI

NAJAZD
TATARÓW NA LWÓW
W 1695 R.

Z PLANEM I DWOMA PORTRETAMI

WE LWOWIE

DRUKARNIA NARODOWA (MANIECKICH) LWÓW, KOPERNIKA 9.

1902.



STANISŁAW JABŁONOWSKI

HETMAN WIELKI KORONNY.

ALEKSANDER CZOŁOWSKI

NAJAZD
TATARÓW NA LWÓW
W 1695 R.

Z PLANEM I DWOMA PORTRETAMI

Janusz Woliński

WE LWOWIE

DRUKARNIA NARODOWA (MANIECKICH) LWÓW, KOPERNIKA 9.

1902.

WI 8b 2,
HII 12b 5

382465
II

Odbitka z „Nowego Słowa Polskiego".

K.-72/3003
23.3. 60/-



Rzecz niniejsza była przedmiotem sumiennej pracy dra Ludwika Finkla, ogłoszonej w *Kwartalniku historycznym* w roku 1890 i w odbitce.

Obok źródeł zebranych w niej nader starannie, na których opieramy się również, udało nam się odkryć inne jeszcze, nieznane, mianowicie w aktach Archiwum miejskiego i Towarzystwa strzeleckiego, w kronice lwowskiego kollegium OO. Jezuitów, a przedewszystkiem list hetmana, Stanisława Jabłonowskiego, który rozjaśnia niejeden szczegół tego pamiętnego najazdu na nasz gród.

Pragnąc dać wierny, bo i na studyach topograficznych oparty, obraz bitwy, stoczonej wówczas na Krakowskiem przedmieściu, ogłaszamy tę pracę, jako wspomnienie w dwóchsetną rocznicę zgonu Hetmana.

We Lwowie, 3. kwietnia 1902.

Autor.

Zapusty 1695 roku niezwykłem odznaczały się we Lwowie ożywieniem. Najmożniejsze rody czerwonoruskiej szlachty zjechały do stolicy, by, korzystając z czasowego spokoju od niedalekiego pogranicza tureckiego — chwil kilka przepędzić tu wesoło.

W pierwszym rzędzie — jak zwykle na zimę — przybył z całym dworem, z synami i córkami, hetman w. kor. i kasztelan krakowski, Stanisław Jabłonowski, szczery opiekun miasta i jego mieszczaństwa, przyjaciel i nieodstępny towarzysz wszystkich bojów i wypraw króla Jana III., a obecnie w tegoż zastępstwie czuwający nad bezpieczeństwem całej Rusi.

Obok kamienic w mieście, liczne dwory i dworki panów i szlachty po przedmieściach zaroiły się przybocznymi pocztami rycerstwa i mnóstwem służby. Zawrzało życie, pełne gwaru i wesołości. Dzień każdy coraz to nowe przynosił zabawy, uczty i tańce.

Około dworu Hetmana, w pałacu, zamienionym dziś na koszary, a zbudowanym krótko przedtem na Stryjskiem przedmieściu — skupiał się

główny zastęp ówczesnego towarzystwa. Inny znowu otaczał możne i zasłużone rody Sieniawskich i Potockich, które właśnie zaraz na początku zapust łączył związek małżeński. Anna bowiem Sieniawska, córka Mikołaja Sieniawskiego, hetmana pol. kor. († 1683), a siostra Adama, wojewody bełskiego, oddawała swą rękę Stefanowi Potockiemu, łowczemu koronnemu.

Uroczystości weselne odbywały się na Niskim zamku z wielkopańską okazałością i trwały sześć dni z rzędu. Pospieszyli na nie krewni i znajomi obu rodzin z różnych stron Polski. Przybył brat panny młodej, Adam Sieniawski, Feliks Potocki, wojewoda krakowski, Hieronim Kuropatnicki, kasztelan kijowski, Franciszek Ledochowski, kasztelan kamieniecki, Atanazy Miączyński, podskarbi nadworny i innych „niesłychana moc". Wielu nadto wojskowych, a między nimi pułkownicy i rotmistrze wojsk, rozłożonych na straży na Podolu, Wołyniu i Pokuciu, jak: Walenty Kalinowski, Franciszek Brzuchowski, Stanisław Przerębski bawiło również we Lwowie.

Nowożeńcom złożono liczne i bogate upominki, do których i miasto przyczyniło się znaczną kwotą. Tak liczny zjazd zamożnych gości ożywił niezwykle życie lwowskie, z czego mieszczaństwo niepoślednie odnosząc korzyści, samo również nie wstrzymywało się od różnorodnych zabaw. Karnawału podobnego nie pamiętano już dawno.

Gdy jedni używali go w całej pełni i dla niego tylko przybyli do Lwowa, drugich sprowa-

dzał tu przykry obowiązek złożenia ostatniej przysługi swym krewnym i znajomym. Właśnie bowiem w tym czasie wypadły pogrzeby kilku członków wybitnych rodzin szlacheckich, na które wiele zjechało osób. Liczny zwłaszcza był zjazd na pogrzeb Mikołaja Strzałkowskiego, podczaszego żydaczowskiego, fundatora kościoła OO. Trynitarzy, gdzie go chowano z wielką okazałością.

Wśród ogólnego ożywienia i wesołości czekała niestety wszystkich prawdziwa niespodzianka.

Oto dnia 18. stycznia woźni grodzcy przy ogłosie trąb i bębnów zaczęli ogłaszać i przybijać na bramach miejskich ostrzegawczy uniwersał hetmański, że w dniach najbliższych należy się obawiać wielkiego najazdu tatarskiego, na co wszystkie zgadzają się wieści. Zalecał przeto Hetman wszystkim mieszkańcom Rusi, by zawczasu w bezpieczne chronili się miejsca i mieli się na baczności.

Tak poważnej przestrogi doświadczonego wodza nie brano atoli na seryo. Jedni uważali ją za fortel „dla poparcia spraw“ na Sejmie, który właśnie zaczynał się w Warszawie; inni pocieszali się ostrą porą zimową, wśród której Lwów nie widział jeszcze dotąd nieprzyjaciela pod swymi murami. Słowem zaczęto przestrogi w żart obracać, nie wierzono w możność bliskiego niebezpieczeństwa. Pozornie miano może i słuszność. Najazdy w czasie zimy, wobec trudności zdobycia paszy dla wielotysięcznej liczby koni, należały prawie do wyjątków. Z długiego szeregu tych najazdów, a było ich blisko dwieście w cią-

gu wieków na ziemie ruskie — kilka zaledwie znanych jest w porze zimowej, lecz i z tych żaden nie dosięgał czerwono-ruskiej stolicy. Z wiosną, gdy pola bujniejszą zaczęły okrywać się paszą, lub w jesieni, gdy gumna rolnika były napełnione zebranymi plonami — to była zwykła pora wypraw tatarskich z Krymu na Polskę.

Jabłonowski jednak wiedział, co czyni, zmyślonych nie rzucał postrachów. Miał niewątpliwe z pogranicza wieści, że załoga turecka w Kamieńcu podolskim wskutek zabrania jej olbrzymich zapasów żywności w roku ubiegłym, cierpi dotkliwy głód przy zupełnym do tego braku drzewa opałowego. Wiedział, że z polecenia Turcyi, zaopatrzeniem Kamieńca w żywność zajął się Han tatarski i że sołtan t. j. syn hański, Schebas-Geraj prosił ojca, by mu pozwolił dokonać tego zadania, a zarazem naprawić sławę i zemścić się na Polsce. On to bowiem w październiku 1694 r. poniósł nad Dniestrem nietylko sromotną klęską od hufców polskich, ale stracił „bogaty konwój, mnóstwo wozów z prowiantem i rozmaitymi towarami, wartości przeszło milion". Han zgodził się na prośby syna i mimo mrozów i śniegów, które „koniom sięgały po brzuch", nakazał wyruszyć wszystkim hordom z swych koczowisk. W połowie stycznia zgromadzony prowiant z stutysięcznym konwojem tatarskim ruszył ku Kamieńcowi od strony Mołdawii.

Przeszkodzić zaopatrzeniu Kamieńca w żywność, było wprost niemożliwem, nie myślano nawet o tem. Ów jednak drugi cel wyprawy —

zemsta na Polsce — nie pozostał w pierwszym rzędzie dla Jabłonowskiego tajemnicą. Od pierwszej wieści, otrzymanej o nim przez szpiegów, był przekonany o jego możliwości, chociaż pora roku stała na przeszkodzie. Podzielał te obawy Hetmana doświadczony król Jan III., bawiący w Wilanowie pod Warszawą i dokładnie o wszystkiem informowany. Sama niezwykła liczba konwoju upewniała obu, że w następstwie gotuje się najazd tem groźniejszy, bo niespodziewany. Nie zasypiał przeto Hetman sprawy i kiedy inni spędzali zapusty wśród uciech i zabaw, on czuwał i choć zdrowie mu nie dopisywało, i ciągle leki zażywał, mimo to nieustannie wyjeżdżał za miasto, patrzył pilnie ku wschodowi, z niecierpliwością oczekiwał dalszych wiadomości z najbliższej Kamieńcowi placówki polskiej, w Okopach św. Trójcy.

Dnia 2 lutego Brandt, komendant tamtejszego garnizonu, przysłał gońca z doniesieniem, że Kamieniec dnia 29. stycznia otrzymał już prowiant, czyli, jak językiem ówczesnym nazywano, „zaharę“ i że Tatarzy, zostawiwszy część swych hufców pod Kamieńcem, ruszają się w głąb kraju, nie wiadomo atoli, dokąd.

Jabłonowski podwoił czujność, pułkownikom, bawiącym we Lwowie, natychmiast kazał wracać do ich chorągwi, rozłożonych na leżach zimowych, wycofać je stamtąd, połączyć w jeden korpus pod dowództwem Atanazego Miączyńskiego, podskarbiego nadwornego i postępując za nieprzyjacielem, śledzić jego ruchy.

W myśl rozkazu popędził Miączyński do swoich pod Złoczów, Brzuchowski pod Rohatyn, Kalinowski pod Buczacz, Przerębski na Wołyń, głosząc wszędzie po miasteczkach i wioskach o bliskiem niebezpieczeństwie.

Złowrogie wieści lotem błyskawicy rozbiegły się po Rusi, lecz we Lwowie nie dawano im ciągle wiary, bawiono się z zupełnym spokojem o własne bezpieczeństwo. W wigilię Matki Boskiej Gromnicznej wielu z panów i pań przebrało się w maszkary, jeździło wesoło i butnie po mieście, odwiedzało nawet Hetmana, żartując z jego przestróg i zaniepokojenia.

Dnia 6 lutego zaczęły się uroczystości drugiego z rzędu wielkopańskiego wesela, mianowicie Franciszka Denhoffa, łowczego litewskiego z Ludwiką Dąmbską, kasztelanką biecką. Zwyczajem ówczesnym miały trwać one najmniej cztery dni, lecz już drugiego dnia przerwała je „zła nowina“, której niestety musiano dać wreszcie wiarę. Oto o północy, kiedy i Hetman znajdował się na uczcie weselnej, która odbywała się z wielkim przepychem w kamienicy arcybiskupiej w rynku, przybiegł doń Kozak, donosząc że Tatarzy dzień przedtem nocowali mila od Złoczowa, na polach płuchowskich.

Bez względu na noc, Jabłonowski rozkazał natychmiast przestrzedz miasto i okolicę o bliskim nieprzyjacielu. Trzykrotny wystrzał z dział Wysokiego zamku obudził mieszkańców, napełniając wszystkich przerażeniem i niepewnością. Rano ponownie ozwały się działa „na trwogę“,

tak samo w południe i wieczór i przez dnie następne „aż do uprzykrzenia“ — pisze naoczny świadek.

Sam Hetman wyjechał śledzić „na szlaki“. Dzień cały czekał na gościńcu gliniańskim koło Lesienic i ze zmierzchem dopiero przemrożony wrócił do miasta. Nie wiele dowiedział się. Daremnie pragnął mieć jakiego jeńca, albo, jak mówiono, „języka“, któryby mógł go poinformować o celu tatarskiej wyprawy zimowej. Tymczasem Tatarzy, wbrew zwyczajowi, szli w jednej, wielkiej, zbitej masie, nie rozpraszając się na boki. To jednak właśnie umacniało w przekonaniu osiwiałego w bojach wodza, że celem ich jest niewątpliwie — Lwów, na który chcą nagle i z tem większą uderzyć potęgą.

W oczekiwaniu i niepewności minął poniedziałek i wtorek 7. i 8. lutego. We wtorek rozeszły się wprawdzie wieści, że Tatarzy palą już pobliskie wioski, lecz okazały się one nieprawdziwemi. Z Wysokiego zamku, dokąd Hetman z synami wyjechał, żadnych jeszcze nie dostrzeżono pożóg.

Wśród tego Tatarzy, „podobni do jednej wielkiej czarnej masy“, robiąc dziennie zaledwie 2 do 3 mil, nie męcząc koni, zbliżali się powoli ku Lwowu. Wiele wiosek leżących po drodze, a zwłaszcza w dobrach Sobieskiego w kluczach: złoczowskim, zborowskim i pomorzańskim, do szczętu poszło z dymem. Liczba ciągnącej hordy, według zgodnych informacyj wszystkich źródeł, wynosiła 60 do 80 tysięcy ludzi z krymskich, budziackich,

biłohorskich i czerkieskich Tatarów i to „doborowych najezdników“. Dowodził nimi wspomniany syn hański, Schebas-Geraj, mając przy sobie synowca hana Jałas-agę i dwudziestu murzów.

Idąc między Pomorzanami a Złoczowem, które się obroniły, we środę dnia 9. lutego stanęła horda koszem, t. j. obozem, dwie mile od Lwowa, we wsi Wyżnianach, które również do szczętu zostały zniszczone.

Tegoż dnia Jabłonowski w towarzystwie wojskowych dzień cały przesiedział na Czartowskiej skale, skąd ku wieczorowi po raz pierwszy od strony Gołogór ujrzano dymy i łuny płonących wiosek. Wysłany w tym kierunku porucznik Oziemski z zastępem ochotników miał spróbować, czy nie uda mu się dostać języka. Spostrzeżony jednak rychło przez nieprzyjaciół, którzy w wielkiej liczbie zaczęli go gonić aż do Mikłaszowa, nocy tylko i rączości koni zawdzięczał ocalenie. Wcześniej jeszcze Stefan Potocki, łowczy korony, w sześćdziesiąt koni pognał z „ordynansem“ Hetmana ku Glinianom, do stojącego tam Atanazego Miączyńskiego, aby, połączywszy się z chorągwiami Kalinowskiego i Brzuchowskiego, cofał się do Lwowa. Stało się to jednak już dwa dni przedtem koło Gołogór, skąd wszyscy trzej pomknęli do Buska, gdzie przybyły do nich także chorągwie rotmistrzów: Przerębskiego i Zahorowskiego, z których ostatni, wyszedłszy z Okóp św. Trójcy, od początku manowcami śledził pochód nieprzyjaciół.

Dnia 9. lutego cofnął się Miączyński z Glinian do Jaryczowa, skąd przysłał do Lwowa list, że orda minęła Gliniany i idzie „batalią“ w trzy linie, każda na trzy ćwierci mili szeroka — na Lwów.

Przestrogi i przypuszczenia Jabłonowskiego spełniały się. Teraz dopiero zaczęto we Lwowie obliczać się trwożnie z siłami do odparcia dziczy. „Wojska służałego“ stało na rozkaz hetmański pięć chorągwi i to niepełnych. Komendant twierdzy lwowskiej, Jan Berens, miał pod sobą około stu dragonów. Była nadto w mieście chorągiew dragońska starosty winnickiego Kazimierza Leszczyńskiego. Biskup ruski Szumlański miał również swoją, nieliczną, pod dowództwem Mikołaja Dyakowskiego — razem cała siła wynosiła niespełna tysiąc ludzi!

Samo ówczesne miasto, tj. dzisiejsze śródmieście, otoczone w czworobok warownymi, miejscami podwójnymi murami, rowami i wałami, a nadto szeregiem baszt — nie posiadało już własnej „ognistej piechoty“, pod swoją barwą i chorągwią, jak niegdyś. Po trzech ciężkich oblężeniach, po licznych okupach, wydanych dla wrogów i dla swoich, bogate zasoby miasta nadwerężyły się znacznie, rozluźnił się dawny ład, mieszczaństwo podupadło materyalnie, lecz tradycya chlubnej przeszłości ożywiała je zawsze w całej pełni, przywiązanie do gniazda rodzinnego, poświęcenie i ofiarność w chwilach krytycznych były zawsze ogólną cechą.

Zmieniło się, prawda, niejedno w ciągu ostatniego pół wieku, lecz do upadku, w jakim miasto w niewiele lat potem znalazło się, było jeszcze daleko. Mieszczaństwo z dumą zawsze podnosiło swą sławę wojenną i słusznie. Wszak z zamieci buntów kozackich, kiedy to w odmęcie strachu i pożogi zniknęło wszystko, co w tej części ziem polskich było władzą, ładem, bezpieczeństwem i nadzieją — Lwów jeden wyszedł z honorem i chwałą. Odpierając dwukrotnie tłumy najeźdźców, ponosząc ciężkie ofiary krwi i mienia, ratował nie tylko siebie, ratował kraj cały. Wytrwał do ostateczności, choć sam zniszczał od oblężeń, kontrybucyj i łupieży. W zamian zaś tę tylko otrzymał nagrodę, że cała Polska, zaczynając od króla, oddawała hołd męztwu i ofiarności lwowskiego mieszczaństwa, że pozyskał sławę najwierniejszego i najwaleczniejszego z miast polskich z zaszczytnym przydomkiem „przedmurza Polski“. Oblężenie tureckie 1672 roku utrwaliło tę opinię, miasto szczyciło się nią, jako skarbem największym i na bramach jego widniały chlubne napisy *intacta virgo*.

Fortyfikacye miejskie, w czasie, o którym mowa, znajdowały się niestety w stanie dość zaniedbanym, jakkolwiek dzięki zabiegom Jana III. i Jabłonowskiego wzmocniono je już po oblężeniu tureckiem, zewnętrznemi fortyfikacyami nowszego systemu. Arsenał miasta posiadał do czterdziestu dział bronzowych i żelaznych, nie licząc tych, które rozmieszczone były po basztach cechowych, a nadto był w nim znaczny za-

sób broni siecznej, palnej i amunicyi. Obok tego arsenał królewski nie mniej obficie był zaopatrzony w broń różnorodną, a zwłaszcza w działa.

Ogół rzemieślniczy, zorganizowany w cechy, których w tym czasie liczono 24, tworzył właściwą siłę wojenną miasta. Każdy z nich miał sobie powierzoną od wieków jedną z baszt do obrony. Nadto każdy mieszczanin miał obowiązek przyczyniać się do niej w miarę sił i zasobów.

Stara konfraternia strzelecka, sięgająca czasów Kazimierza Wielkiego, była szkołą rycerską, która ogół mieszczaństwa uczyła obchodzić się z bronią. Całą też prawie chwałę wojenną jej właśnie zawdzięcza miasto.

Król Jan III., szczególny protektor konfraternii, w rzędzie licznych nadań i przepisów, wskrzesił zaniedbane ćwiczenia w strzelaniu z dział, co nie pozostało bez wpływu w chwili obecnej, gdy na odgłos dzwonu ratuszowego i trąb wojennych przerażone mieszczaństwo z orężem w ręku rzuciło się ku murom i basztom, wytaczając całą swą artyleryę na ich obronę.

Miasto, zamknąwszy wcześnie swe bramy, nie miało potrzeby obawiać się zbytnio nadchodzącego Tatarstwa, które po pierwszym nieudałym zapędzie, nigdy nie bawiło się w dłuższe oblężenie, bo do tego nie miało odpowiednich przyborów, lecz przedewszystkiem goniło za bogatym łupem. Chodziło jednak o oba ludne przedmieścia, Halickie i Krakowskie, odbudowane z wielkim trudem po oblężeniu tureckiem, o ko-

ścioły, cerkwie i dwory przedmiejskie, którym groziło niebezpieczeństwo ponownego zniszczenia.

Tak też oceniał stan rzeczy i Jabłonowski. Nie myślał przeto bynajmniej zamykać się w mieście, lecz za przykładem Sobieskiego, postanowił zastąpić nieprzyjacielowi drogę w otwartem polu, stoczyć z nim rozpaczliwy bój i bez względu na rezultat boju, dać miastu możność ochłonięcia z pierwszego wrażenia wobec tak niezwykłego a groźnego najazdu.

We czwartek dnia 10. lutego szczupłe siły obrońców wbrew oczekiwaniu wszystkich, powiększyły się z górą trzykrotnie, dzięki ścisłemu wykonaniu „ordynansów“ hetmańskich. Ze świtem bowiem stanął we Lwowie Atanazy Miączyński, na czele połączonych chorągwi Kalinowskiego Zahorowskiego, Brzuchowskiego i Przerębskiego — razem z przeszło dwoma tysiącami ludzi, prawdziwych kresowców, zaprawionych w długoletnich bojach z muzułmańską dziczą. W ten sposób cała siła z którą mógł teraz wyruszyć Hetman, wzrosła według jego własnych obliczeń do liczby trzydziestu chorągwi a trzech tysięcy dwustu ludzi. Była to wyłącznie jazda pancerna i dragońska, a więc lżej uzbrojona w pałasze i pistolety, a wyjątkowo tylko w muszkiety. Piechoty zaś, która w tej chwili główną mogłaby odegrać rolę, było niestety zaledwie kilkudziesięciu ludzi.

Nieprzyjaciel, chcąc dotrzeć do miasta — mógł to uczynić najkrótszą drogą — szlakiem gliniańskim, t. j. dzisiejszym powiatowym gościńcem, który poza rogatką łyczakowską skręca

przez las krzywczycki ku Lesienicom i grzbietem płaskowzgórzv, na Mikłaszów, Biłkę królewską, prowadzi do Glinian. Wszystkie prawie burze wojenne, jakie na Lwów od wschodu uderzały, łączą się ściśle z tym szlakiem. Kroczył tędy dwukrotnie Chmielnicki (1648 i 1655) na czele kozackich, tatarskich i moskiewskich tłumów i stawał obozem na przyległych Lesienicom polach, dotąd „Taborami“ zwanych. Szedł tędy w r. 1672 Kapudan-basza z armią turecką; przelatywały niejednokrotnie tatarskie czambuły, to znowu polskie na wschód dążyły wyprawy. Tutaj wreszcie w r. 1675 po za lesienicką karczmą, na równinie, po obu stronach toru kolejowego, a nie pod Wysokim zamkiem, jak mylnie bywa podawanem, nieśmiertelnej pamięci król Jan III. w pół godziny rozbił czterdziestotysięczną hordę tatarską Nuradyna. Szlak zatem wspomniany był dobrze znany swoim i wrogom.

W przekonaniu, że i obecnie pójdzie nim nieprzyjaciel ku miastu — rozłożył Hetman na jego spotkanie wszystkie prawie chorągwie przed Halickiem przedmieściem, od strony szlaku glinianskiego, obsadził i obwarował działami każde przejście, sam zaś koło kościoła, a dzisiaj cerkwi, św. Piotra i Pawła, na mroźnym śniegu, za kobylicami, obrał sobie stanowisko. Tutaj otrzymał na piśmie doniesienie, zawierające zeznania trzech jeńców tatarskich, złapanych w Bóbrce przez Aleksandra Ruszczyca, który wyszedł z drugą chorągwią z Okóp, lecz nie zdążył już połączyć się z Miączyńskim, więc postępował ostrożnie za Ta-

tarami, starając się ich wyprzedzić. Zeznania jeńców brzmiały zgodnie, „że sołtan Schebas-Geraj idzie pod Lwów, aby spalić przedmieścia i ma rozpuścić zagony, aż pod Gródek".

Koło godziny drugiej pierwsze oddziały tatarskie okazały się na wzgórzach koło Lesienic. Za nimi wyroiło się niebawem czarne, nieprzejrzane mrowisko ludzi i koni, których pochód znaczyły płomienie i dymy wszystkich w tej stronie wiosek. Z Wysokiego zamku i ze wzgórzy poza dzisiejszym cesarskim laskiem widziano je dokładnie.

Było w istocie pierwotnym zamiarem Sołtana — wprost szlakiem gliniańskim uderzyć na miasto, jak przypuszczał Jabłonowski, lecz Tatarzy dowiedzieli się wcześnie o pogotowiu polskiem z tej strony. Koło Hermanowa bowiem wpadł im w ręce jakiś podstarości, umykający na saniach do Lwowa, który, przyprowadzony przed Sołtana, podał siły polskie na dziesięć tysięcy, opowiadał o wielkich przygotowaniach do obrony i o bogatych zapasach rynsztunku wojennego.

Ta wiadomość, tradycya klęski, jaką Tatarstwo poniosło przed dwudziestu laty w tem właśnie miejscu, i obawa „zasadzek w wąwozach i chaszczach koło karczmy krzywczyckiej", skłoniły Schebas-Geraja do obrania innej drogi ku miastu, odpowiedniejszej dla rozwinięcia bojowego szyku wielotysięcznej jazdy. Od Lesienic zwrócił ją przeto na wielką dolinę nadpełtwiańską i wieczorem kazał stanąć koszem na polach Laszek, Malechowa, Grzybowic i Srok. Sam Sołtan obrał

sobie na nocleg zameczek Petroneli Morawcowej w Laszkach.

Zapadający zmrok straszliwą łuną oblał miasto i okolicę. Cały szereg leżących w tej stronie wiosek stał w płomieniach. Paliły się: Malechów, Laszki, Sroki, Zboiska, Krzywczyce, Podborce, Prusy, Żydatycze, Kamiennopol, Grzybowice i przy ich ogniu znużeni pochodem i zimnem najeźdzcy, pokrzepiali swe siły do bliskich zapasów. Wrzawa koczowiska tysięcy koni i ludzi, dolatywała do wystraszonego miasta, w którem z każdą chwilą wzrastało zamieszanie. Jedni z przedmieść i wiosek, unosząc mienie, biegli do miasta, by za murami jego szukać schronienia, inni niepewni, czy miasto samo oprze się nawale, chcieli zeń uchodzić. Ścisk i hałas nie do opisania we wszystkich zapanował kątach, a zwłaszcza w bramach, do których pchano się gwałtem, jakby nieprzyjaciel już siedział na karkach.

Tłumy ludu zapełniały każdą świątynię. — W katedrze sam arcybiskup lwowski, Konstanty Lipski, gorące odprawiał modły o odwrócenie grożącego niebezpieczeństwa. Dzwony wszystkich kościołów biły nieustannie na trwogę, a działa Wysokiego zamku raz po raz odzywały się z hukiem. Krzyk, wrzawa, płacz, nawoływania mieszały się z odgłosem trąb i bębnów, wzywających do pogotowia wojennego.

Spieszyło mieszczaństwo na swe stanowiska, cechy rzemieślnicze obsadzały swe baszty, przygotowywały broń, seniorowie zaś konfraternii strzeleckiej: Jan Gędzicki, Kazimierz Dynobor-

ski, Andrzej Lochman, Franciszek Fukierowicz, Marcin Golsztyn, Łazarz Steckiewicz, Wojciech Sącki i Kazimierz Poprawa przestrzegali porządku, mając nad sobą prezydentów konfraternii: Jana Złotorowicza i Kazimierza Wilczka.

Burmistrz miasta, a był nim w tym czasie, Dominik Wilczek, chwili „nie miał odpoczynku", z urzędu wszelkich dokładał starań, aby zarządzenia do obrony wykonywano należycie.

Noc całą nikt oka nie zmrużył w mieście. Spędzono ją bezsennie w strasznem oczekiwaniu wypadków dnia następnego. Pocieszali się wprawdzie niektórzy, że Tatarzy ominą Lwów, i pójdą na Kulików i Żółkiew ku Wiśle, lecz temu mało kto wierzył.

Dla zbadania zamiarów nieprzyjaciela, sam Jabłonowski w trzysta koni ruszył wieczorem ku Zboiskom na podjazd, lecz rychło spostrzeżony i zaatakowany przez przeważające siły, musiał się cofnąć do miasta, żadnego nie dostawszy języka.

Z Wysokiego zamku atoli, którego poszczerbione i trzęsieniem ziemi w r. 1671 znacznie uszkodzone mury, majestatycznie rysowały się na tle ognistej łuny — można było dokładnie widzieć tatarskie koczowisko. Tam też udał się teraz Hetman i z baszty zamkowej przez trzy godziny przyglądał mu się, rozważał i układał plan przyszłej bitwy.

Kierunek pochodu, obranego przez Tatarstwo, wskazywał wymownie, że uderzy na Krakowskie przedmieście, rozścielające się od murów miejskich u podnóża góry zamkowej ponad Peł-

twią. Był to zaś od r. 1524 drugi w dziejach Lwowa wypadek, że nieprzyjaciel, obszedłszy Wysoki zamek, z tej strony zagrażał miastu. W lecie było to prawie niemożliwem, zwłaszcza dla wielotysięcznej jazdy, a to z powodu trudnych do przebycia bagien i trzęsawisk między Zniesieniem a Zboiskami, dziś już w znacznej części osuszonych. W chwili obecnej atoli, gdy mrozy twardą je ścięły powłoką — przejście obszerną równiną nadpełtwiańską było przeciwnie o wiele wygodniejsze, niż traktem gliniańskim.

Pewny zamiarów nieprzyjacielskich, późną już nocą zeszedł Jabłonowski z Wysokiego zamku na Krakowskie przedmieście, dokąd wszystkim kazał się ściągnąć chorągwiom i wydawszy im ordynanse, gdzie i jak mają stanąć nazajutrz, strudzony na chwilowy legł spoczynek w przedmiejskim domku.

Nad świtem przedarła się jeszcze do Lwowa wspomniana już, ze stu dwudziestu ludzi złożona chorągiew Ruszczyca z Okóp, który, manowcami obchodząc koczowiska tatarskie, stawił się na rozkaz hetmański, lecz na odpoczynek nie miał już czasu i nawet z konia nie zsiadłszy, spieszył z towarzyszami na wskazane miejsce. Ledwie bowiem świt się jaśniejszy rozwinął, a rycerstwo i wódz mszy św. wysłuchać mogli, orda wyruszała już z nocnych legowisk.

Dzień zapowiadał się niepomyślnie, co wielu zabobonnych uważało za sprawkę czarowników tatarskich. Gęsta zamieć śnieżna srożyła się w całej pełni. Wiatr północny pędził tumanami śniegu,

że chwilami na parę kroków trudno było dojrzeć. Poznawano zaledwie, że czarna masa jazdy tatarskiej sunie już wprost na Lwów „na kształt wielkiego potopu“. Zatoczywszy zwyczajem tatarskim olbrzymie półkole, podzielili je na dwie kolumny, z których jedna od północy sięgała Hołoska małego, a opierała się o Zboiska, druga zaś uszykowała się od wschodu na płaszczyźnie przed Zboiskami w poprzek szlaku żółkiewskiego ku Zniesieniu. Reszta pozostała w koszu za Zboiskami. Pierwsza kolumna ruszyła naprzód, druga czekała w odwodzie.

Zamarstynów, miejska wioska, dzierżawiona przez burmistrza Dominika Wilczka, „w oczach prawie“ poszedł do szczętu z dymem wraz z dworem, gumnem, zbiorami, młynami i chatami, których było dwadzieścia pięć. Ten sam los spotkał niebawem Hołosko wielkie, Hołosko małe i Kleparów.

Koło godziny ósmej rano już tylko zamarstynowskie błonie oddzielało „nieprzejrzane“ szyki tatarskiej jazdy od Krakowskiego przedmieścia, na które całą siłą zamierzała uderzyć i gdzie nawzajem czekało już na nią rycerstwo polskie, uszykowane według „dyspozycyi“ Hetmana.

Wszystkie dotychczasowe opracowania tego najazdu, grzeszą mylnem przedstawieniem, w jaki sposób i gdzie był rozłożony bojowy szyk polski, następnie błędnym opisem przebiegu samej bitwy, a to wskutek niedokładnej znajomości terenu, na którym bitwa została stoczoną, a zarazem nie uwzględnienia ówczesnej topografii tej strony miasta.

Plan Jabłonowskiego był wprawdzie ryzykowny, lecz przedstawia się zupełnie jasnym. Wstrzymać ordę poza najdalszemi kończynami domów przedmiejskich, jeżeli możliwe, obronić je, w razie przeciwnym cofać się zwolna w ulice, domy i ogrody bliżej miasta i wśród nich wstrzymywać nieprzyjaciela — oto było jego celem.

Odpowiednio do tego planu cała siła polska została podzielona na pięć części czyli dywizyi i tak rozłożona, „w ulicach między domami i ogrodami“ przedmieścia, że każda drugą mogła wspierać w razie potrzeby. Utworzenie zwartej linii bojowej, wobec zbyt szczupłej liczby obrońców, było niemożliwe.

Mapy stare świadczą, że poza dzisiejszą „starą rzeźnią“ wypływała z Pełtwi sztucznie od wieków utworzona młynówka, której woda kilka poruszała młynów. Płynęła ona przez płaskie, moczarowate błonia i wpadała za dzisiejszą nową rzeźnią znowu do Pełtwi. Młynówka owa tworzyła wówczas najdalszą granicę Krakowskiego przedmieścia z tej strony. Przed dwudziestu laty zniesiono ją i obecnie jedynym śladem po niej jest miejscami nie wielki rów, który dotąd stanowi granicę miasta. W miejscu, gdzie droga do Hołoska, a dzisiejsza ul. Zamarstynowska, przechodziła przez młynówkę tj. tuż u wylotu ul. Króla Jana III., istniał w czasie, o którym mowa, most kamienny, dlatego też zwano go „murowanym mostem“ i nazwa ta utrzymuje się jeszcze do dzisiaj. Obok tego mostu w miejscu, gdzie do niedawna był młyn p. Majera, po lewym brzegu młynówki,

istniał większy drewniany młyn wodny, opodal zaś po prawym brzegu, u wylotu dzisiejszej ul. Tkackiej, stała obszerna przydrożna karczma. W odległości około ośmiuset kroków od „murowanego mostu“, w miejscu gdzie młynówka zb'iżała się do Pełtwi i gdzie dziś kończy się ul. św. Marcina, istniał nad młynówką drugi most, drewniany, oddalony o kilkanaście kroków od dzisiejszego „mostu złotego“. Most ów obecnie również zniesiony, służył tylko do przejazdu na pastwiska.

Jazda nieprzyjacielska chcąc z tej strony w targnąć na przedmieście, mogła to uczynić tylko przez oba te mosty na młynówce, bo gdzie indziej przytykały do niej płoty licznych ogrodów.

Młynówkę też wspomnianą, niezbyt głęboką, lecz o brzegach ujętych w znacznej części wałami, obrał właśnie Hetman, w całej prawie jej długości, za główny punkt oparcia swej linii bojowej, zwróconej czołem ku Zamarstynowu, bokiem ku Zboiskom. Sam z synami Janem, Aleksandrem i Stanisławem w pięć chorągwi obsadził najważniejsze przejście — „murowany most“. Łowczy koronny, Stefan Potocki, z swoją wołoską chorągwią zajął ów młyn; dalej wzdłuż młynówki, po za płotami ogrodów, jak ul. Tkacka, rozstawił swą chorągiew Zahorowski, a za nim z główną siłą przy „moście drewnianym“ i „na korytach“ tj. na dzisiejszej ul. św. Marcina, stali Miączyński i Brzuchowski. Bezpieczeństwo prawego boku, od strony żółkiewskiego szlaku miał powierzone pułkownik Kalinowski i w tym celu rozłożył swe

chorągwie i między podnóżem góry zamkowej, a kościołem św. Marcina, około którego ustawiono nadto trzy spiżowe działa sześciofuntowe. Na przewiezienie większej ich liczby z szlaku gliniańskiego, gdzie je pierwotnie rozmieszczono, nie stało już czasu.

Działa Wysokiego zamku, który obsadził komendant lwowski, Berens, miały wspierać walczących. Rotmistrz Przerębski otrzymał rozkaz strzedz szlaku janowskiego i grodeckiego poza kościołem św. Anny, małe zaś oddziałki piechoty węgierskiej Hetmana, jedynej, jaka była, pilnowały, na wszelki wypadek, szlaku gliniańskiego i siechowskiego, a hajducy piesi dworu hetmańskiego na Stryjskiem przedmieściu.

Część Krakowskiego przedmieścia, bliższą miasta, w miejscu mniej więcej, jak dziś idzie tor kolejowy, od Pełtwi po górę zamkową — opasywał wprawdzie suchy rów i niewielki wał z palisadą, przez które, na drogach, były przejścia, mogące być łatwo zatarasowane, lecz fortyfikacye te niedawały żadnej rękojmi bezpieczeństwa. Na wszelki jednak wypadek obronę ich polecił Hetman licznej rzeszy przedmieszczan i chłopów, zbiegłych z okolicznych wsi, a uzbrojonych w rusznice, dzidy, kosy, topory i koły.

W opisanym szyku czekano natarcia. Jabłonowski tymczasem objeżdżał chorągwie, do każdej przemawiał gorąco, aby w Bogu i męstwie pokładając nadzieję, wytrwała do ostateczności.

Rycerstwo polskie, uzbrojeniem, męstwem, wyższą taktyką wojenną przewyższało niewątpli-

wie hufce tatarskie. Podziwiać jednak należy tę szaloną odwagę, z jaką ta garstka, ożywiona duchem swego wodza, odważała się stawiać czoło nieprzyjacielowi, co najmniej dziesięćkroć silniejszemu. Wypadków atoli podobnych sporoby można przytoczyć z naszych dziejów. Dość wspomnieć, że ów Jan Zahorowski, biorący udział w tej bitwie, rok przedtem pod Hodowem koło Pomorzan, w trzysta koni rzucił się na piętnastotysięczną nawałę tatarską i po zaciętym boju odparł ją z ogromnemi stratami, czemu sam Sobieski nie mógł się dosyć nadziwić. Nie dziw więc, że i teraz, po Bogu, główną ufność pokładano w męstwie.

Przyległe do Zamarstynowowa wzgórza i błonia, rychło zaroiły się posuwającem się naprzód Tatarstwem, tak licznem „jak lasem“. Młodzi Jabłonowscy po raz pierwszy w życiu widzieli tylu ludzi w kupie. Liczba ta jednak nie dziwiła starych bojowników, z których większość walczyła w takich bitwach, jak berestecka, żwaniecka, cudnowska, chocimska, żurawińska, wiedeńska i w innych bez liku.

Pędem i „z okrzykiem okrutnym“ zbliżało się Tatarstwo ku młynówce, zabawiwszy się nieco przy przeprawie przez dość głębokie koryto Pełtwi pod Zamarstynowem. Na czele szli świadomi tych miejsc Tatarzy-Lipkowie, bo dawniej Polsce służyli i ci Tatarzy, którzy, wzięci w różnych „okazyach“ w niewolę, siedzieli przedtem w więzieniu we Lwowie, gdzie, używani do różnych robót, mieli możność poznać dokładnie położenie miasta i jego przedmieść.

Wyrwali się przeciw nim niektórzy z chorągwi Miączyńskiego, przez most drewniany na błonia, chcąc harców spróbować, lecz co rychlej wrócili nazad, widząc, z jakim impetem idą. Gdy dosięgnęli młynówki, tysiące strzał, wypuszczonych z łuków, obsypało polskie zastępy. Tatarzy zobaczywszy mniejszą niż się spodziewali, garstkę, sądzili, że prędko, z nią się uporają, zajmą oba mosty i jadąc na karkach, wpadną na przedmieście. Tem śmielej na całej linii młynówki przypuścili atak. Zawrzała walka zacięta, rozpaczliwa. Tatarom coraz nowe i nowe przybywają szeregi. Z razu główny atak, wymierzony przeciw Miączyńskiemu, którego Jabłonowski wspiera osobiście częścią swych chorągwi, lecz niebawem na wiadomość, że większa ku „murowanemu mostowi“ następuje nawała, spieszy co rychlej w zagrożone miejsce. Tatarzy bowiem spróbowawszy, że łatwo mogą przebyć młynówkę, postanawiają najpierw przełamać pozycyę, najsilniej obsadzoną przez Hetmana przy owym moście. W tym celu główna ich siła wali prosto w tę stronę. Przy moście najzaciętszy wszczyna się bój. Jabłonowski jednej części chorągwi każe zsiąść z koni i obsadzić wspomnianą karczmę przydrożną, z drugą rzuca się naprzeciw wroga i piersiami zastępuje mu drogę. Potocki równocześnie broni z swymi Wołochami do upadłego młyna. Chorągwie Zahorowskiego, Miączyńskiego i Brzuchowskiego z równem męztwem odpierają ataki i nie ustępują na krok. Bój coraz sroższy, coraz gorętszy wzmaga się na całej linii bojowej. Pistolety a przedewszyskiem

szabla główną odgrywają w nim rolą. Rycerstwo polskie wszystkie wytęża siły, by wstrzymać nawałą. Po trzechgodzinnych wściekłych zapasach, Tatarzy mimo przewagi liczebnej, nie mogą zupełnie „przeforsować“ przejścia przez młynówkę, a przedewszystkiem zdobyć mostów, choć trzynaście razy uderzają z rzędu, lecz tyleż razy zostają odparci. Trup tatarski gęsto zaściela pobojowisko, a obok niego wielu mężnych i z polskiej pada strony.

Padł Żabokrzycki, chorąży hetmański, na drobne rozsiekany kawałki. Chwycił za sztandar niejaki Paprocki, towarzysz pancerny, lecz również zginął podobnie. Dwóch innych jeszcze pragnie ratować drogi znak, ale obaj dostają się do niewoli wraz z sztandarem. Poległ śmiercią walecznych i chorąży starosty winnickiego, Kazimierza Leszczyńskiego, nazwiskiem Iwanowski, a padając, drzewce sztandaru tak silnie uchwycił w śmiertelnym uścisku, że Tatarzyn, chcąc je wydrzeć, palce musiał mu odciąć. Razem dwa znaki dostają się Tatarom. Porucznik Oziemski otrzymał postrzał w nogę. Podkomorzemu włodzimierskiemu, Janowi Wielohorskiemu, grot strzały utkwił nad uchem w chwili, gdy Leszczyńskiemu ratował życie, lecz sam go sobie wyrwał z głowy i walczył dalej. Rotmistrz Papara, w najgorętszy rzucając się bój, dwukrotnie został pchnięty dzidą, lecz nie zważał na to, póki dwudziestu ranami okrytego nie uniesiono z pobojowiska. Któż jednak zapisał, kto dziś wyliczyć może — wszystkie bohaterstwa i poświęcenia tej pamiętnej chwili.

Gdzie przez trzy godziny jeden opędzał się najmniej dziesięciu — tam każdy zasługuje na miano bohatera!

W chwili, gdy przy mostach, nad młynówką i przyległej przestrzeni, wrze bój w całej pełni, gdy nasi i kroku nie ustępują, drogo sprzedając swe życie — tymczasem część prawego skrzydła tatarskiego, w sile około sześciu tysięcy ludzi, pod osłoną zawiei śnieżnej, skrada się w bok od okopiska żydowskiego, przez ogrody, sady, zamarznięte bagna i sadzawki. Przełamawszy liczne płoty, przechodzi bez trudu Pełtew w miejscu, gdzie dziś stara rzeźnia, wdziera się na Krakowskie przedmieście i od tyłu uderza niespodzianie na chorągwie hetmańskie.

Na ten widok pierwsi Wołochowie Stefana Potockiego pierzchają od młyna, a jemu samemu strzała tatarska wbija się w ramię, w chwili gdy znacznego Tatarzyna kładzie trupem. Wszczyna się zamieszanie przy „murowanym moście“. Korzysta z niego kilkunastutysięczny oddział tatarski od czoła, przedziera się przez młynówkę, obala płoty ogrodów i z przeraźliwym okrzykiem Ałłah! Ałłah! wpada na chorągiew Zahorowskiego, między pozycyą Miączyńskiego a Hetmana, przełamuje ją i oddziela obu od siebie. Nie wstrzymuje ich salwa z owych trzech dział koło kościoła św. Marcina. Powtórnie je nabić nie ma atoli czasu i możności, gdyż w pospiechu zabrano kule większego kalibru. Po pierwszym wystrzale, działa wraz z trzema puszkarzami, z końmi i woźnicami wpadają w ręce tatarskie, kule zaś dział zamko-

wych, choć z nich „często strzelano“, nie sięgają tak daleko.

Tatarzy zataczają pierścień, podpalają najbliższe budynki. Pierścień ścieśnia się coraz więcej, odcina hufcom Hetmana drogę do miasta. Las szabel i dzid otacza go zewsząd, grozi śmiercią lub niewolą. Zawarty jednak hufiec walecznych osłania go z wysiłkiem i szablą toruje sobie drogę. W około padają trupy i ranni, a między nimi porucznik Stanisław Jastrzębski „człowiek rycerski“, ciężko ranny, o kilka kroków od Hetmana, dostaje się do niewoli. Samo nadto niebo, zda się, że się sprzysięgło na zgubę naszych. Szaleje zimna śnieżyca, dym utrudnia oddech, wiatr zaś miota śniegiem, to znowu snopami iskier z pogorzelisk prosto w oczy tak, że je ledwie roztworzyć i Tatarzyna od swego w ścisku rozpoznać można, zwłaszcza, że całe rycerstwo, od Hetmana zaczynając, zwyczajem tatarskim, przywdziało kożuchy włosem na zewnątrz.

W tym stanie rzeczy rozluźnia się mimowoli dotychczasowa karność szeregów polskich. Część chorągwi hetmańskich zostawia karczmę i most, wsiada na koń i na przebój rzuca się ku miastu. Daremnie Jabłonowski wzywa do porządku. Popłoch udziela się i innym chorągwiom. Za przykładem pierwszych uchodzą od mostu i w tłumie Hetmana z synami unoszą ze sobą ku klasztorowi OO. Teatynów, któr/ istniał w tym czasie przy ormiańskim, starym kościele św. Krzyża, a nie przy dzisiejszej ulicy Teatyńskiej, w tak zwanym

Czerwonym klasztorze, jak mylnie bywa podawanem. [1]) Oba zaś t. j. kościół św. Krzyża i wspomniany przy nim klasztor, zachowały się do dziś jako „areszta garnizonowe“ przy placu Misyonarskim, na którym, w tym czasie istniał piękny klasztorny ogród, otoczony murem.

Wybiegł stąd Hetmanowi na pomoc tłum przedmieszczan i chłopów; różnym orężem uzbrojonych i wódką „na ochotę“ zagrzanych, lecz ciężko odpokutował swój zapał. Umykający bowiem żołnierz wtłacza się pędem na nich, obala końmi, pomyka dalej i dociera do klasztoru OO. Teatynów.

Tutaj dopiero rozluźnione zatrzymują się chorągwie. Tymczasem Tatarzy z wściekłością rzucają się na przedmieszczan i chłopów i srogą wśród nich wyprawiają rzeź. To jednak daje czas hetmańskim chorągwiom uszykować się do nowego odporu, wśród przedmiejskich domów i klasztorów. Łączą się z niemi chorągwie Kalinowskiego, którym nic również nie pozostawało do wyboru, jak cofać się ku miastu. Klasztor Teatynów, monastyr Bazylianów u św. Onufrego, cerkiew św.

---

[1]) Zakon OO. Teatynów przybył do Lwowa w r. 1664 celem umacniania Ormian w wierze katolickiej. Arcybiskup ormiański, ks. Mikołaj Torosowicz, dał im w r. 1671 mieszkanie przy wspomnianym kościele św. Krzyża, gdzie założyli i utrzymywali alumnat ormiański. Dopiero w r. 1745 przenieśli się stąd do nowego tak zw. Czerwonego klasztoru (dziś koszary artyleryi przy ul. Teatyńskiej), stare zaś kolegium przy kościele św. Krzyża kupili w r. 1746 XX. Misyonarze, których klasztor wraz z kościołem zniesiono w r. 1782 i w następnym roku oddano wojskowości.

Mikołaja i domy przyległe zamieniają się teraz w chwilowe warownie.

W niemniejszem od Hetmana niebezpieczeństwie znaleźli się także Miączyński, Zahorowski i Brzuchowski, którym ci Tatarzy, którzy przełamali szyk polski, również zastąpili drogę. Szli im z pomocą też owi, co dotąd pod Zboiskami na błoniach czekali i prosto na „most drewniany i szlak żółkiewski“ uderzyli. Śmierć lub niewola wszystkim staje przed oczyma, na pomoc z nikąd liczyć nie można, zguba zdaje się nieuchronną. Miączyński wszakże nie traci przytomności. W największym porządku, z szablą w dłoni, rzuca się „arcymężnie“ w tłumy na przebój i choć nie bez strat, dociera z innymi do ormiańskiego monastyru św. Anny, stojącego wtedy w dzisiejszym ogrodzie, za łaźnią, obok rampy kolejowej. Dziedziniec cmentarny, otoczony murami, na szczęście był otwarty. Co tchu każe Miączyński pozsiadać z koni, obsadzić mury i strzałami z pistoletów wstrzymywać ze wszech stron wdzierających się najeźdzców. Udaje się to na chwilę. Czterdziestu zaś okopowych rajtarów Zahorowskiego, strojnych w czerwone mundury, zostawiwszy konie Tatarom, obsadza pobliski dom między monastyrem św. Anny a klasztorem OO. Teatynów i broni się w nim do upadłego, póki ostatni nie oddał ducha razem z ks. Bernardynem, kapelanem obozowym.

Ośmielone powodzeniem Tatarstwo, coraz większą uderza masą, wyłamuje palisady przedmiejskiego wału, wdziera się między wspomniane klasztory i z zdwojoną uderza zaciętością.



ATANAZY MIĄCZYŃSKI
WOJEWODA WOŁYŃSKI, PODSKARBI NADWORNY KOR.

Wobec olbrzymiej nawały, której wstrzymanie tak w otwartem polu, jak i w prowizorycznych warowniach, przechodziło siły szczupłej garstki — pozostawała ostatnia droga — cofać się ku murom miejskim. Tak też zrobiono.

Tatarzy, znalazłszy się w węższych, bardziej zaludnionych uliczkach dzielnicy żydowskiej, z większą ostrożnością zaczęli atakować ustępujących, nie tracąc nadziei, że raz jeszcze uda się im zabiedz tyły. W istocie chorągwie hetmańskie ponownie w niemałem znalazły się niebezpieczeństwie. Część bowiem Tatarstwa, zapędziwszy się od szlaku żółkiewskiego, dzisiejszą ul. Zamkową, górą, po za cerkiew św. Mikołaja, uderzyła na nie od strony Starego rynku i „okrążyła“ powtórnie. Tylko ciasnota miejsca i celne strzały z klasztoru OO. Teatynów ułatwiły chorągwiom, że mogły „przebić się szablami“ bliżej miasta.

Raz jeszcze usiłowali Tatarzy zabiedz drogę do miasta i przeciąć odwrót chorągwiom, mianowicie koło kościoła Panny Maryi Śnieżnej. Znacznemu ich oddziałowi udaje się aż tu dotrzeć, bądź od strony Starego rynku bądź drogą między murami ogrodów klasztoru PP. Benedyktynek i OO. Reformatów, czyli dzisiejszą ul. Klasztorną.

Już z pocztu Hetmana pochwycono towarzyszów: Lodorowskiego, Koronowskiego i Ražewskiego, już on sam z innymi w niemniejszem znalazł się niebezpieczeństwie — wobec coraz liczniej napływających pohańców, lecz w tej, tak krytycznej chwili, miasto teraz przychodziło rycerstwu z pomocą.

W „trwodze nie do opisania“ oczekiwało mieszczaństwo i rodziny wielu z walczących wyniku nierównej walki, która w razie przegranej, dotkliwą się mogła skończyć dla miasta klęską. Gdy jedni czuwali w pogotowiu na murach i basztach, trwożliwsi chowali się po kątach, piwnicach, strychach i zamykali bramy domów. Kościoły i rynek zapełnione dziećmi i kobietami. Płacz, krzyk, modlitwy, nawoływania, głosy dzwonów, mięszają się z jękami rannych, których coraz liczniej przynoszą do miasta. Opatrują ich doktorzy i cyrulicy, księża udzielają ostatniej pociechy konającym. Wszystko to powiększa grozę położenia, napawa niepewnością. Każda wieść z pola bitwy lotem błyskawicy całe obiega miasto.

W obec tego trudno „wyrazić przerażenie“ pierwszej chwili, gdy po długich godzinach czekania, z rosnącą coraz bliżej groźną wrzawą wojenną, zmięszaną z gęstemi strzałami — ujrzano w dali szerzący się pożar przedmieścia, następnie cofające się w nieładzie chorągwie hetmańskie, a za niemi strasznego wroga, dotykającego już prawie murów miejskich. Widziano też niebezpieczeństwo, w jakiem znalazł się Hetman, więc w tej chwili bez wahania zaczęto z dział dawać ognia, ku wychylającemu się od Benedyktynek Tatarstwu. Uczyniono to z taką wprawą i biegłością, że pod osłoną kul miejskich, zdołał wreszcie Jabłonowski dotrzeć ku bramie krakowskiej i zyskał tyle czasu, że mógł tu jako tako uszykować część swych hufców do ostatecznej rozprawy.

Celnemi strzałami z murów i z baszt, a zwłaszcza z wielkiego „bastyonu królewskiego“, istniejącego tuż za dzisiejszą nową strażnicą ogniową — powstrzymało mieszczaństwo zapęd tatarski, a odznaczył się w tem szczególnie ławnik i pocztmistrz miejski, Stanisław Żywert. Gdzie bowiem wymierzył działo, żaden jego strzał nie był daremny i nie dziw. W całem mieście nikt panu Stanisławowi nie dorównał w tej sztuce, stąd też zasłużenie od szeregu już lat zdobywał sobie godność króla kurkowego starej konfraternii strzeleckiej, której teraz prawdziwą przynosił chlubę.

Podczas tego chorągwie Miączyńskiego, Zahorowskiego i innych, po rozpaczliwej obronie domów i wspomnianych klasztorów, rzuciły się także ku miastu, aby podobnie, jak Hetman przedrzeć się do bramy krakowskiej. Kosztowało to nie mało trudu, krok każdy naprzód wymagał ofiar.

Dla powiększenia zastępu obrońców kazał Hetman kilkakrotnie otrębywać po mieście, kto chce wyjść „na ochotnika“. Znalazło się go dość. Kto jaką broń miał pod ręką, biegł z nią na plac boju. Spieszyli rzemieślnicy, chłopi i studenci szkół. Żydom przedmiejskim kazano wytoczyć beczki wódki, aby zagrzać do walki jak największą liczbę, a dla większego huku i postrachu Tatarstwa strzelano także z moździerzy na ślepo.

Stopniowo wszystkie rozbite siły polskie ściągały się ku bramie krakowskiej, dokąd zdołał się wreszcie przedrzeć i mężny Miączyński, choć

ranny i pozbawiony pięknego konia z bogatym rzędem.

Za ustępującymi „na karkach prawie“ pędziły oddziały Tatarstwa i koło kościoła P. Maryi Śnieżnej, próbowały dalej szczęścia, „hałasując“, puszczając chmury strzał lub pojedyncze zwodząc harce.

Żołnierze, pozsiadawszy przed bramą z koni — dawali do nich ognia z muszkietów i pistoletów i mimo znużenia walczyli dalej „jak lwy“. Równocześnie i z baszty kuśnierskiej nad bramą krakowską sypały się gęste strzały, że „aż się po tatarskich kożuchach kurzyło“, a że i żołnierz polski był w kożuch odziany, nie obeszło się bez wypadków, że w zamieszaniu nie zawsze było można swego odróżnić od wroga.

Plac przed kościołem, wobec otwartej, bo wozami zapchanej bramy krakowskiej, zamienił się teraz w miejsce krwawych zapasów, w których rycerstwo, mieszczanie, chłopi i żydzi, wspólny brali udział, czekając na bój stanowczy. Tatarzy atoli nie ważyli się iść wielką masą w ciasne uliczki dzielnicy żydowskiej, gdzie każdy dom mógł się zamienić w warownię, a tem mniej zbliżać się ku murom miasta i narażać się na kule ich obrońców, którzy ochłonęli już z pierwszego przerażenia. Pojedyńcze natomiast oddziały zapędzały się daleko na inne przedmieścia, kiedy w uliczkach i przed krakowską bramą nieustanny toczono bój.

Jeden z takich oddziałów zjawił się i pod starą, murem otoczoną cerkwią św. Jura, lecz tu

biskup ruski, Józef Szumlański, słynny niegdyś rotmistrz, opatrzył się wcześnie w armatę i strzelbę i choć dziesięciu tylko miał ludzi przy sobie, bo chorągiew brała udział w boju, tak celnemi strzałami powitał zbliżających się, że zmusił ich do odwrotu. Kilku tylko ochotników podsunęło się bliżej i wtedy biskup z rusznicą w ręku zeszedł na schodki cerkiewne i „wołał na nich, aby go nie zaczepiali, bo strzelać będzie". Właśnie w tej chwili przybył z placu boju synowiec biskupa, Paweł Szumlański, który spostrzegłszy Tatarów, sam wypadł ku nim i bez wielkiego trudu pojmał jednego z nich sługę Jusuf-agi, „człeka rozumnego i junackiego" i ten później informował o siłach i zamiarach ordy. Reszta jego towarzyszy uciekła co rychlej.

Nie brakowało innych ciekawych epizodów. I tak jeden z wołoskiej chorągwi Potockiego porwał rannego murzę i przedzierając się przez walczących, uprowadził go do cerkwi św. Mikołaja — na wieżę. Tu przywiązał go do sznura dzwonu i sam opędzał się nacierającym nań Tatarom, a tymczasem murza, szamocząc się „w powrozie ciągle przydzwaniał".

Ks. Bomzat, z klasztoru OO. Reformatów, w relacyi swojej o tym najeździe, niemniej charakterystyczny przekazał epizod o OO. Bonifratrach z Gliniańskiego przedmieścia, którzy, bojąc się, aby im nie spalono folwareczku, jaki mieli w pobliżu św. Marcina, taką na jego wrotach przybili prośbę:

„Wielmożny Mości Panie Sołtanie! My ubodzy zakonnicy suplikujemy, abyś raczył konser-

wować tę trochę ubóstwa naszego, gdyż my jesteśmy ci, którzy chętnie usługujemy chorym nietylko chrześcianom, ale też Turkom i Tatarom waszym i jeżeliby się trafiło teraz waszym rannym zostać tu, tym gotowiśmy służyć, zaczem nie psujcie tego trochę dobra naszego, które najwięcej dla chorych mamy".

Gdy Tatarzy podpadli pod dworek, obaczywszy pismo przybite na wrotach, dali znać Sołtanowi. Przyjechał sam i kazał sobie tłómaczyć treść jego, potem od chłopów upewniwszy się, że zakonnicy w istocie chorych bez różnicy wiary obsługują, nie kazał im żadnej czynić szkody i na znak ochrony dwie strzały utkwił we wrotach. W istocie folwareczek został nietknięty. Odchodząc zabrano tylko jedno cielę i trochę owsa.

Dzień pełen znoju i nadludzkich wysiłków zbliżał się już ku schyłkowi, lecz nieprzyjaciel nie pokazywał się z całą swoją potęgą jak się tego spodziewano. Walczono ciągle tylko z drobniejszymi oddziałami, które wysuwały się co chwila z uliczek i z poza domów i chowały się znowu. Wśród nieustającej ciągle śnieżycy, która utrudniała bardzo żołnierzom nabijanie broni, bo proch czyniła wilgotnym, przezierał pożar dalszej części Krakowskiego przedmieścia. Palił się kościoł św. Marcina i św. Krzyża, cerkiew PP. Bazylianek pod wezw. Wowedenja, Bohorodycy, cerkwie Paraskiewii i Woskresenja, paliły się folwarki i około pięćdziesiąt domków i dworów. Czarne kłęby dymu pędziły prosto na miasto zasypując je iskrami i tak grubą warstwą popiołu, że

pokrył zupełnie śnieg. Za cud prawdziwie uważano, że w w samem mieście nie wybuchł gdzie pożar.

Zegar miejski wskazywał właśnie czwartą, gdy donośne nawoływania tatarskie: kajtawuł! kajtawuł! — t. j. odwrót, odwrót doleciały do murów miejskich. Rozkaz taki wydawał sam Schebas-geraj, widoczna więc, że uważał swe zadanie, na razie przynajmniej, za skończone.

Nie wzniecając dalszego pożaru, który objął tylko przestrzeń po kościół ormiański św. Krzyża, opuszczało Tatarstwo szybko przedmieścia ku Kleparowu i Hołosku, jak gdyby z innej strony chciało obejść miasto. Próżne wszakże były obawy. Tatarzyn ustępował, by więcej nie wrócić.

Co było przyczyną ustąpienia nieprzyjaciela z placu boju, nie umiano sobie wytłumaczyć, zwłaszcza, że według zgodnych zeznań jeńców, przez trzy dni miał stać pod Lwowem i „jego przedmieścia opalić". Wszystko zachęcało go do tego. Widocznie jednak po napotkanym oporze przeceniał siły polskie, w czem miały go utwierdzić informacye pojmanych dworzan hetmańskich.

Według kroniki lwowskiego klasztoru OO. Jezuitów[1]) miał też Jabłonowski uciec się do fortelu. Zmyślił mianowicie list od Paleja, pułkownika kozackiego, że z 7 tysiącami Kozaków stanie niebawem pod Lwowem. List umyślnie dostał się w ręce Sołtana, a ten uwierzywszy w jego treść, zwołał natychmiast radę wojenną, której wynikiem było hasło do odwrotu.

---

[1]) Rękopis w c. k. Bibliotece Nadwornej we Wiedniu l. 11988.

Wpłynęły na to niewątpliwie i znaczne straty, poniesione w boju. Według obliczeń samego Hetmana [1]) padło ich około tysiąca, dwa razy tyle mieli rannych. Między poległymi było dwóch murzów, a trzeci stary „pedagog“ synów hańskich ranny ciężko, zmarł w kilka dni w drodze. Postrzelić miał go ks. Walenty Bercutii, Teatyn z Włoch rodem, w chwili gdy zuchwały Tatar siedząc na koniu, pod kościołem św. Krzyża, strzałą przeszył wiszącego na krzyżu Chrystusa. Kiedy rannego przywieziono do Schebasa, tenże począł na sobie „kontusz“ targać i po sajdaku bić się, a Tatarzy z żalu zanim lamentowali i głowami bili w kulbaki. Ten wypadek miał ich najwięcej przerazić i do odwrotu skłonić, co bardzo wydaje się prawdopodobnem.

Ustępując, część trupów zawlokło Tatarstwo do starej drewnianej cerkwi Woskresenia (Zmartwychwstania) [2]) i do czterech chałup i swoim zwyczajem spaliło je wraz z niemi, z czego nieznośna woń roznosiła się w około przez dni kilka potem. Reszta trupów pozostała na pobojowisku, śnieżnym pokryta całunem, obok mnóstwa zabitych koni.

Straty z polskiej strony nierównie były mniejsze. Jabłonowski podaje je do stu poległych i stu sześciesięciu rannych, nie licząc wziętych w niewolę. Zginęło nadto przeszło dwustu przedmieszczan i chłopów, a „z wybitniejszych mie-

[1]) W liście wydr. w dziele: *Der siegreich geendigte römisch-kayserliche-polnische-muscovitische XV. jährige Türckenkrieg v. Jahre 1658—1699. Hamburg 1699. str. 521—524.*

[2]) Istniała ta cerkiew do r. 1806 w miejscu, gdzie dziś realność przy ul. Zamarstynowskiej l. 11.

szczan, jeden złotnik, drugi łucznik, dwóch zaś wzięto do niewoli".

Strasznym był widok pobojowiska koło Teatynów, jak dziś most kolejowy [1]) nad ul. Zamarstynowską. Obok trupów tatarskich i żołnierzy, leżeli kupami pomordowani chłopi i przedmieszczanie, „trzeźwi i piani", odarci z odzieży, z wyrazem rozpaczliwej walki przedśmiertnej, na mrozem ściętych twarzach — mówi naoczny świadek, ks. Józefowicz, kronikarz lwowski.

Wzgórzami poza św. Jurem, ruszyła horda ku Sokolnikom, gdzie rozłożyła się na nocleg, znacząc swój odwrót olbrzymiemi w około łunami. Poszły bowiem tej nocy z dymem Brzuchowice, Zimnawoda, Rzęsna polska i ruska, Biłohorszcze, Kulparków Skniłów i Zubrza. Dla Lwowa jednak niebezpieczeństwo minęło szczęśliwie, miasto po strasznym dniu odetchnęło swobodniej.

Hetman, choć dzień cały spędził na koniu, nie zsiadł z niego, dopóki dalszych nie wydał rozkazów i gdy upewnił się, że nieprzyjaciel rzeczywiście ustąpił, późnym wieczorem udał się do miasta na spoczynek. Cała ludność z zapałem witała swego obrońcę, okrzykom radości nie było końca....

Żołnierz rozłożył się po przedmieściach a zgłodniały i bojem znużony, domagał się teraz energicznie posiłku i wygód. Nie dziw więc, że

---

1) Przy budowie jego w roku 1868 odkryto mnóstwo szkieletów o czaszkach typu mongolskiego. Była to niewątpliwie jedna z mogił tatarskich z tej właśnie bitwy.

nie obeszło się przytem bez licznych wybryków, zwykłym towarzyszom każdej wojny.

Nazajutrz i dni następnych ze zgrozą oglądano pobojowisko, obliczono szkody pogorzelisk, opatrywano rannych, zbierano poległych. Swoich chowano na sąsiednich cmentarzach kościołów i cerkwi, a najwięcej w wspólnym grobie koło kościoła P. Maryi Śnieżnej. Tatarów zaś w kilku wielkich grobach na przedmieściu.

Dnia 13 lutego, w niedzielę, odśpiewano w katedrze uroczyste *Te Deum laudamus*, a 21 odprawiono wielkie egzekwie za poległych.

Tatarzy tymczasem na Drohowyż dążyli ku Dniestrowi, przez który przeprawiwszy się na Żydaczów, Rudę, Żórawno, Wojniłów dążyli ku Haliczowi. Usiłowali zdobyć zamek halicki, lecz z znacznemi stratami zostali odparci.

Dnia 16 lutego nocowali koło Tustania, Dubowiec i Maryampola. W Dubowcach przeszli znowu Dniester, szli popod Jezupol, nocowali pod Stanisławowem, puszczając czambuły ku Stryjowi, Bolechowu, Dolinie aż głęboko w góry.

W ślad za nimi wysłał Jabłonowski dwadzieścia chorągwi pod Kalinowskim, Zachorowskim Cieńskim i Przerębskim, którzy koło Jezupola i Tyśmienicy znacznie rozbili czambuły i wzięli kilkunastu jeńców.

Tatarzy nawzajem niszczyli i palili wszystko bez litości, najbardziej zaś dobra hetmańskie.

Dwadzieścia wiosek Jabłonowskiego znikło zupełnie. W śniegu leżało mnóstwo pomordowanego ludu, bo jeńców dla braku pożywienia nie

brali. Wskutek zimna atoli i głodu ginęli i sami. Kiedy 20 lutego koło Śniatyna przeprawiali się przez Prut, koni już prawie nie mieli, tyle ich padło inne były zniszczone a ich samych brakowało bardzo wielu.

Jak orkan nawalny przeleciał ten najazd przez Ruś, „której stan — mówią współcześni — łatwiej było teraz opisać łzami niż piórem“.

Lwowu do dawnej sławy wojennej przybył nowy wawrzyn, a przyczynił się do niego w pierwszym rzędzie hetman Jabłonowski. To też ówczesna Rada miejska uroczyste złożyła mu podziękowanie, mieszczaństwo, nie miało dość słów na wyrażenie mu swej wdzięczności i uwielbienia i uznawało zgodnie, że gdyby nie on, „miasto pewnieby było zginęło i zostało wycięte, tak niespodzianie, strasznie i natarczywie nieprzyjaciel następował“.

Fakt opisany słusznie utrwalił pamięć Stanisława Jabłonowskiego w dziejach naszego miasta, które oprócz ocalenia od grożącej mu wtedy klęski, niejedne jeszcze zawdzięcza Hetmanowi.

Biblioteka Ossolineum
26. Sierpnia 1932

PLAN BITWY
stoczonej
z
Tatarami
na
KRAKOWSKIEM PRZEDMIEŚCIU
LWOWA
dnia 11 lutego 1695 roku.

Skala 1:14.400.

Kosz tatarski

Tatarzy

Zbiorska

Hołosko Wielkie

Hołosko Małe

Zamarstynów

Tatarzy

Pełtew

Most drewniany

Młynówka

Młyn

Młyn wodny

Karczma

Jabłonowski

Zahorowski

Bramy Bramowski

Kalinowski

Szlak

Szlak żółkiewski

Klepardw

Młynówka

Jabłonowski

Karczma

Zahorowski (św. Marcina)

Bramy Bramowski

ul. Na Korytach

Szlak

Kalinowski

Bazyliańska

Bazyliańska

Cerkiew Wniebowstąpienia

Cerkiew Zmartwychwstania

Cerkiew Przemienienia

Mon. św. Anny

Bazyliańska

Cerkiew św. Mikołaja

Stary Rynek

Benedyktynki

Reformaci

Kościół P. Marii Śnieżnej

Cerkiew Wniebowstąpienia

Cerkiew Zmartwychwstania

Cerkiew Przemienienia

Mon. św. Anny

Bazyliańska

O.O. Teatyni

Cerkiew św. Mikołaja

Stary Rynek

Benedyktynki

Reformaci

Kościół P. Marii Śnieżnej

Ogrodzisko

Przedmieście krakowskie

Brama Krak

Bastyon Królewski

Brama Krak

Bastyon Królewski

Szlak janowski

Kościół św. Anny

Szlak grodecki

Furta bosacka

Furta jezuicka

Przedmieście halickie

Brama halicka

Bernardynów

Kl. O.O. Bonifratrów

Kościół św. Piotra i Pawła

Szlak

do Glinian

Karczma Krzywczycka

do Winnik

Grzeręb ski

Św. Jur

Zniesienie

Krzywczyce

Pełtew